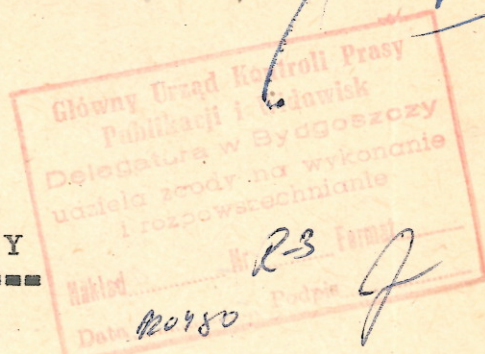


Maria Suszyńska-Bartman  
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 13.IV.1980 r.  
Godz. 16.05 - 17.30

ODWIEDZINY



/fragment powieści pt. "Pożegnanie z pięcioma wzgórzami"/

- Wszelki duch Pana Boga chwali! - zawołała Albina.

- A chwali, chwali i ja go chwałę, ja Małgorzata, ta sama,  
co gaik za tobą niosła, jak żeś zbierała pieniądze na wesele.

Poznałaś mnie?

- Poznałam cię, kochana, poznałam, choć nie od razu. Głos  
masz ten sam. Siadaj na skrzyni. Dołożę do ognia, ugotuję kawy,  
wypijesz i zaraz się poczujesz mocniejsza. Zlazłaś się.

- Masz kawę taką zieloną do palenia?

- Czemu mam nie mieć, Małgosiu. Mój chłop, pytasz. Niedługo  
się razem nażyłim. Wyżgał mu flaki pański byk, co się urwał  
z łańcucha. Przycisnął go rogami do dębu tego świętego i gniótl.  
Te dzieci? Moje, ale żadne nie jest dzieckiem nieboszczyka.  
Andzię, jak wiesz, miałam ze Stacheuszem sołtysowym, a te drobne.  
Ludzie ci nie mówili? - splonęła rumieńcem.

- Nie mówili,



- Prawdę gadasz? Bo widzisz, te dzieci mam z dziedzicem.

Małgorzata zmarszczyła czoło, rękę do ucha przyłożyła i kazała sobie powtórzyć jeszcze raz to samo.

- Z dziedzicem mam te dzieci - krzyknęła Albina.

- W imię Ojca i Syna - przeżegnała się Małgorzata i rozejrzała się po izbie. Pasowało. Skąd by wzięła Albina-wdowa takie szafy, ale jakie szafy. Politurowane, zółciutkie z gałkami i gzymsami jak kogucie grzebienie. I stół zółty na nogach rzeźbionych w ten sam sposób i krzesła... Stołek żaden nie mógł się utrzymać na nogach, dlatego posadziła Albina gościa na skrzyni. One ci takie, żeby i na szafę wlażyły, te dziedzicowe. Krzesła mają za karety i ciągną je po podłodze, skrzaty takie.

- Daj te bażki, Małgosia, mam do nich ładny wazon.

- Ze szkła?

- Gdzie tam! Tak ze szkła, ale kryształowego. A jak urodzę to piątę, każe mi dziedzic odmierzyć kawał pola. Przyjadą, zaorzą, zasieją. Może nawet chałupę postawią. No popatrz na moje dzieci. Andzia jak percynelka, a te dziedzicowe, to już nie wiem jakie, sama widzisz.

- Galante - pochwaliła Małgorzata. - I delikatne, zaraz widać, że pańskie. I nikt się za to we wsi nie prześladowuje?

Bo u nas, to by cię wzięli na języki i żyć nie dali.



- A kto by się poważył coś powiedzieć na szlacheckie dzieci, przecież widzą, że wóz ze dworu co rusz zajeżdża z workami mąki, to grochu, to kaszy. Nic się przed ludźmi nie ukryje. Wszyscy wiedzą, że to dzieci szlacheckie.

- Półszlacheckie - poprawiła Małgorzata Albinę.

- Czemu to? Z ojca się liczy, nie z matki.

- A tam gadasz. Dzieci są chłopskie wedle mojego rozumu.

A on przyjeżdża na chrzciny. ten... - wypytywała Małgorzata.

- Nie, on tu jeszcze nie był, ja co roku na świętego Józefa idę do dworu śpiewać. To wszystko przez to moje śpiewanie te szafy, te stołki, te dzieci... Widzisz - tłumaczyła się - we wdo-wieństwie nie miałam z czego żyć, Andziuchna była malutka, to chodziłam po wsi z jarmoniką i śpiewałam. A raz poszłam do kowala. Akurat pan przyjechał do niego konia podkuć. Śpiewałam wtedy "Rosła kalina z liściem szerokim..."

- Nad modrym w gaju rosła potokiem - podchwyciła Małgorzata. Jakie to ładne, a śpiewałaś kowalowi "Rosną sobie kwiatki na łące"?

- Może i śpiewałam, już tego nie pamiętam, ale to dobrze sobie przypominam, co powiedział pan.

- Ładnie śpiewasz, dziewczeczko, i piękna jesteś.



- Jaka ja tam dziewczeczka, proszę wielmożnego pana - skłoniłam się do ziemi. - Wdową jestem po pastuchu, co mu dworski byk flaki wyżgał rogami - rozplakałam się.

- Wsunął mi do ręki rubla, ale jakiego rubla! Złotego.

I kazał mi przyjść do dworu w samego świętego Józefa, bo jemu Józef. Zapisał na kartce, kiedy to wypada, ale na co mi pisanie, jak nie umiem czytać. Zawiązałam supełek na chusteczce. Kiedyś powiedział: pięć lat już chodzisz do dworu śpiewać, ożeniłbym się z tobą, ale moja rodzina by cię otruła, a tak grać i śpiewać ci wolno. Nic nie mówisz, Małgosia, co też ty sobie o mnie myślisz?

- Co myślę? - podniosła Małgorzata głowę. W książkach takie historie to się dzieją, ciocia Agnieszka mówiła, ale żeby w życiu takie coś... Nie mnie cię sądzić, Albisiu, za głupia jestem na to i twoja kuma. Ładnie mnie przyjął. Kawę piję, biały chleb z masłem jem. Jakby to było, żebyś cię potępiła.

Albina się ożywiła, wdzięczna była Małgorzacie za wyrozumiałość. Dobrze, że to dziś podkoziołek, zafunduję ci w karczmie. Mam tam śpiewać. Pójdziemy, jeno się trochę ogarnę. Duszę zaraz wrzucę do pieca, przeciągnę żelazkiem jedwabną bluzkę i twoją chustkę. Zdejm ją z głowy i poczesz się.



- A dzieci?

- Andzia je przypilnuje. Wódki nie będę piła. Dziedzic mi zabronił, bo chodzę z tym piątym. - A nie pij powiada, żebyś nie miała głupich dzieci. Najstarszy ma iść do szkół, ale ja z tego niekontenta. Może tak być jak z Wawrzkiem Józwy. Matka go straciła, bo on już przywykł do wielmożnej pani Zuzanny. Piękna, delikatna, a matka co? Stroszek na wróble.

- Ale matka prawdziwa.

- Aż mi się serce kraje, gdy pomyślę, że mogę Olgierda stracić.

- Kto to mu nadał takie imię, co konia przypomina? Ogierd, Ogierd jakiś, nie słyszałam o takim świętym.

- Ady nie przygaduj, Małgosia, ładne imię. Dziedzic się pyta, a jak tam panicz Olo się chowa? Prosty jest? Nie ma zadartego nosa, jak u chłopów. Widzisz Olo, a nie koń, jak ty mówisz.

- No ale w metryce ma napisane tak - upierała się Małgorzata.

- Jak się zwał, tak się zwał, byle się dobrze miał - obróciła Albina sprzeczkę w śmiech. Powiedz, Małgosiu, jak tobie się życie ułożyło?



- Dosyć dobrze, jak to życie, Albisiu - odpowiedziała Małgorzata nie podnosząc głowy. Mam chłopca, trzy dziewczuszki, matka jest przy nas. Założyli dach na chałupie, konia sobie kupimy. Mamy łąkę własną torfową, nie potrzebujemy kupować opolu. Mamy nawet brzozowy gaj, a w nim i jagody, i bedki. A jak zielono latem, a jak pachnie wszystko.

- Chłopca masz ładnego?

- Galanty, jeno chorowity. Ale krowa się nam ocieli. Będzie śmietankę pił, a on w tę śmietankę tak wierzy.

- Dobrze, że wierzy - ożywiła się Albina i spojrzała w okno:

- No patrz, co te dziedzicowe dzieci wyprawiają. Pozrzuciły z nóg trzewiki i porówno z chłopskimi latają po błocie na bosaka

- Bo i one chłopskie. Twoje, Albisiu. Co on ma do nich?

Nie przyznaje się do ojcostwa. Nie widział ich, a tego najstarszego, jak mówiłaś, pieczęcią kazał kowalowi naznaczyć jak konia. Rozżarzoną żelazem wypalić znamię. Serca on dla nich nie ma, nawet tyle co czarne za paznokciem. A Ola nie dawaj. Przerobi się i do ciebie nie wróci.

- Może i tak, ale już nic z tego nie odmieni. Ma mu dziedzic zapisać Korzycę, a Korzyca nie byle co. - Co ty sobie o nim myślisz, Małgoś, może mi zazdrościsz, ale nie zazdrość, nie.



Chętnie bym się z tobą zamieniła na twoje życie. W gaju brzozowym bym sobie posiedziała, a tak sama płaczę. Niech to moje śpiewanie się przepadnie! Przez nie zadałam się z dziedzicem, a po śmierci do czyśóca będę musiała iść - rozplakała się.

- Ładny chociaż ten twój dziedzic? - spytała Małgorzata.

- Gdzie tam! Gruby, spaśny, łysy, a do tego stary.

- O mój Boże! - zawołała Małgorzata - a tyś urodna, jakby cię kto z obrazu Marii Magdaleny zdjął i głos masz jak słowik i jak święta Cecylia grasz.

- Chustka wyprasowana, jeszcze poszukam paciorków. Mam parę sznurów we wszystkich kolorach. Czerwone ci będą pasowały do szarego kabata i do czerwonej chustki.

- Dziobata jestem - westchnęła Małgorzata. - Nic mi nie pomoże.

- A bo to ty jedna taka. Popatrz po ludziach - pocieszała Albina Małgorzatę. Spieszmy się. Ludzie już letą do szynku postrojeni jak na odpust. Podkoziołek, a na podkoziołku wesoło.

- No ba!

Spotkała się Małgorzata przed karczmą z Pankracym. Ucieszyła się, że starzec żyje i nie potrzebuje lecieć na koniec wsi.



Nie poznał jej. Czy mógł poznać? Pożegnał się z młodą ładną dziewczyną, a po czasie staje przed nim posiwiata ospowata kobieta. Całuje go w rękę i mówi:

- Witam kumotra. Służyli u Cyryli, Andzię Albiny trzymaliśmy do chrztu, przypomnia sobie kumotr? Małgorzata jestem, pyskolicza. Zmieniłam się widać, tak chrzestny kochany oczy wybałusza. Zmieniłam się, no szak?

- Zdziebko się zmieniłaś, ale głos masz ten sam. I jak ci się żyje, Małgosiu?

- A dosyć dobrze, a chrzestnemu?

\* Niezgorzej. Latem pasę krowy u sołtysa. Najem się. Zimą jestem wolny, ale znowu nie najedzony. Żona zmarła, w izbie pusto. I starość przyciska do ziemi, aż wepchnie człowieka do niej. No, ale przyszedłem się weselić do karczmy, a nie rozpościć żalów. Chodźma do środka. Spójrzno, na te podkoziolkowe widowisko. Niebo, czy piekło?! Gęby czerwone, ślipie się błyszczą. Ludzie mają głowy...

- Ano do zbytów barzy, jak do powagi, a jeszcze po wódce.

- I z obawy przed wielkim postem, Małgosiu, przed jałowym żurem i kapustą z olejem. Parę tygodni bez tańcowania na pół z głodem. Ano - roześmiał się - musi to być potrzebne, skoro uczeni post wymyślili.



- Cichojsza, cichojsza! - wołał Wojtek od młynarza.

Zaśpiewo tero słowik Gosławic, pani Albina, którą sam dziedzic z Korzycy uznał za śpiewaczkę pierwszej gildy i co rok na świętego Józefa zaprasza do dworu na śpiewanie.

Gospodynie upinały usta w drwiących uśmieszkach i tręcały się łokciami: - A juści na śpiewanie...

Ale co im do tego. Znowu u Albiny na chrzciny się zanosi. Beczkę piwa przywiozą ze dworu, parę gęsi, parę kaczek, pszennej mąki na placki, z kópę jaj i masła. Albina zaprosi gospodynie na ucztę jak co roku. Chłopów nie będzie, bo dziedzic nie pozwala. Wszystko gospodynie zrobią koło matki i dziecięcia, co trzeba i przy kuchni. Nie pozwolą Albinie ruszyć się z łóżka, żeby tylko sobie nie zaszkodziła i nie oblała tłustą czarniną kaftanika z cienkiej weby i koronek.

- Taki tumult w karczmie, aż mi w uszach cyka, chodźmy Małgorzatka do mnie, pogadamy - ciągnął Pankracy swoją kumę do chałupy. A ona myślała: dobrze, że nie dałam Albisi tych czterech jajek, co tam taki prezent. Ma bogatego. Widziałam u niej kobiałkę pełną jaj, pewno przywieźli ze dworu. A te cztery usmażę chrzestnemu, niech się naje.



- Poczekaj jeszcze, Małgoś, letą z talerzem i śpiewają:

"A mo jeszcze, a do jeszcze" i podkładają tacę pod nos.

Trzeba coś dać.

Małgorzata rada by zostać i popatrzeć, jak to skrzypeczkowy muzykant w białą płachtę odziany będzie kota wypuszczał spod pachy na znak, że ulatuje muzykantowa dusza i nastaje wielki post. Ale to dopiero o północy. Albina obiecała zafundować...

Pankracy odezwał się do Małgorzaty: - a raz wiesz jak graczowi wsadzili garnek na głowę przymały, to nie mógł zaś ła z niego wyciągnąć, byłby się udusił. Teraz to już kładą pęknięty, żeby go można było łatwo kijem stłuc.

Wyszli. Orzeźwiło ich chłodne powietrze.

- Poczekaj, bodej Albina śpiewa - nasłuchiwał Pankracy.

- A niech sobie śpiewa, ona od tego jest. Na co jej Pan Bóg dał słowiczy głos? A my chodźmy w swoją stronę. Najpierw wstąpimy do kościoła. Trzeba Bogu podziękować za wszystko. - Ano trzeba.

- Mój Jezu - westchnęła Małgorzata, umoczywszy palce w święconej wodzie. W kruchcie ten sam Chrystus na krzyżu wielkości człowieka. Ile ja się przed nim wyplakałam, jak mi Cyryla dożarła. Kościołek - uśmiechnęła się na tym samym słupie wsparty. Obrazy te same, wydają mi się mniejsze po latach



i wypłwiała, widocznie i tu dochodzi słońce, słońce, czy to  
czas...

- Zawsze byłaś myśląca, wiedziałaś, że bogaci mają za dużo,  
a biedni za mało.

- Samo to się rzuca w oczy, chrzestny, samo.

Pankracy trochę się wstydził za marcową goliznę. - Szkoda -  
rzekł - żeś nie zaczekała Małgosiu z odwiedzinami do maja.

Napatrzyłabyś się na kwitnące sady, na bzy, a teraz pusto i droga  
do jeziora czarna, jeno kałuże świecą.

- W marcu więcej czasu, chrzestny, w maju robota nie pozwoli  
odejść z pola. Wiem, że ładniej w maju i cieplej, wiem, ale nie  
tak jak chcemy, jeno jak możemy. Wezmę kumotra pod pachę.

- Weź, weź. Wódki nie piłem, a zataczam się. Stary człowiek  
chodzi jak pijany, a jeszcze ten hałas w karczmie, to granie, to  
bębnienie tak mnie ogłuszyły, myślałem, że padnę. Serce nie to  
samo, Małgorzatko. Już nie dzwonię - powiedział z żalem i utarł  
nos w rękaw. Jeno słucham dzwonięcia. W marcu smutne dzwonięcie  
pogrzebom suchotników i starców, ale już od maja w dzwonieniu  
na Anioł Pański radość, bo naokoło zieleni, kwiaty, śpiew  
skowronków pod obłokami, wesoły krzyk dzieci.



- Chłop by mnie w maju nie puścił i ja sama bym nie odeszła.

Pogadamy sobie i w marcu. I tak życie chrzestnemu schodzi na modlitwie, na spaniu i na tym pasieniu sołtysowego bydła latem - uczciwie, po chrześcijańsku.

- I na słuchaniu dzwonów, Małgosiu. Nie wiem czy mi zadzwonią na pogrzebie, bo pieniędzy nie mam, a parada kosztuje. Myślałem,

że się odmieni, jeszcze Mateusz nieboszczyk obiecywał, ale świat nieugięty. Nie ma się co ludzić. Muszę dokończyć żywota w ciemnej izbie, z gołym oknem bez mirtu, bo go ściałem na przystrojenie czepka nieboszczycy, bo ja bym jej do trumny wszystko włożył, cały mój majątek. Okręciłem jej dłonie różańcem. Położyłem na jej piersi wszystkie papierowe obrazki ze świętymi, żeby nie była tam samotna. Ciężko mi bez niej. Spię w łóżku, w którym mnie matka urodziła. Nie dorobiłem się niczego i czekam wiesz już na co.

- Jak to?! - zatrwożyła się Małgorzata - dzwonnikowi nie zadzwonią? Jak ciężko mi tego słuchać, chrzestny, kumotrze, mamy kupić konia i wóz na siano, bo mamy łąkę. Przyjadę po chrzestnego. Pójdziemy do brzozowego gaju... I jezioro niedaleko. Należało kiedyś do mojego wuja Korgi. Teraz ma je Majeranc, ale jezioro zawsze jeziorem, choćby należało nie wiem do kogo - dostępne dla oczu, można na nie patrzeć.



- Który Majeranc je ma?

- Izaak - odpowiedziała Małgorzata.

- Ten oszukaniec? To pewno od twego wuja sztuczkami je wycyganił, a wuja sprzedał krowę za gówno wołowe.

- Tak, tak, jakby chrzestny tam był.

Dużo jeszcze było gadania. Pankracy pytał Małgorzatę, a Małgorzata Pankracego: a żyje ten, a ten...

Odpowiadali sobie: żyje, albo umarł. I tak po krótko wspominali jego życie.

- Jutro Popielec chrzestny, pójdziemy do kościoła. Popiołem nam ksiądz głowy posypie.

- Ano - westchnął Pankracy - popiołem, bośmy z niego powstałi i w niego się obrócimy.

Późno Małgorzata wróciła od Pankracego. Posprzątała mu izbę, przeparała jakę i koszulę, scerowała rękawy, no i usmażyła jajecznicę z tych czterech jajek.

- Gdzieś ty była tak długo? Czekam z pączkami i czekam.-

Zaraz ci naleję kawy, pewnoś głodna - wołała Albina sprzed lustra rozplatała już włosy na noc.

- Najadłam się u kumotra Pankracego, Bóg ci zapłać - podzięko-  
wała Małgorzata.



- Będziemy spały w jednym łóżku, Małgosiu. Na podłodze za zimno i gdzie tu teraz słomy szukać. I pierzyny na zbyciu nie ma.

- Ady dobrze, przysunę się do ściany, zwinę w kłębek, nawet nie będziesz czuła, że ktoś z tobą śpi.

- Przysuń się do mnie. Na ścianie będziesz spała, ty! Przecież się nie pogryziemy. Opowiem ci jak to się zaczęło z dziedzicem - szeptala Albina. Poszłam z jarmoniką do dworu. Do śpiewania kazał mi się dziedzic ubrać w jedwabną suknię po nieboszczyce dziedziczce. Taka tam suknia. Plecy gołe i nawet połowa piersi na wierzchu, jak do karmienia. Jak się zobaczyłam w lustrze w tym przebraniu: u góry nic, a na dole tyle falban - słabo mi się zrobiło. Ja, myślę, nie ja? Ale ci byłam ładna! Tak jakby w jakiejś chmurze, w jakimś obłoku niebieściutkim. W domu się ładnie wymyłam w balii jak do kościoła i jeszcze raz we dworze w takim porcelanowym korycie. Lały dziewczki gorącą wodę i lały, potem zaczęły mnie rozdziewać z kabata i spódnicy.

- Jejl! - krzyknęła Małgorzata. - Rozdziewać?

- Jedna stanik mi rozpina... trzepnęłam ją po łapie. Wy! - dla swego pana, to byście mi w tej wodzie poderżnęły gardło jakby kazał. Idźcie, lizusy, mówię. Już się myłam w balii i zapina<sup>na</sup> stanik.



- Poleciały komuś poskarżyć. No i przychodzi ta najstarsza w czepku, jakby Cyryla z grobu wstała i mówi:

- Wielmożny pan powiedział, że jak się śpiewaczka nie wykąpie, to ją każe wychłostać, jak to kiedyś bywało. Pokazałam im język, ale co to ma obrona, dziecinna. I zaraz mi przyszła na myśl ta żelazna dziewica z pazurami, co krew kiedyś z naszych wyciskała, puszczone w ruch przez takie sługi, jak te pokojówki. Swój swego, widzisz. Oni do tego nie są, delikatni, ale rozkazać potrafią, potem się napić wina, <sup>korzec</sup> zakać sobie zagrać, by zagłuszyć muzyką jęki. A może i lubiej ją słuchać, jak ktoś wyje z bólu. Człowiek to i święty, i wilk, i świnia.

- Małgorzata spytała szeptem, żeby dzieci nie zbudzić:

No i ty mogłaś z dzieżdzicem zaś...

- A co miałam robić? Żebym była sama, to bym najpierw dziedzi cowi oczy wydrapała, a potem skoczyła do jeziora, ale <sup>nie</sup> nie była sama. Andziuchna mała, trzeba dziecku dać jeść. Z dzieckiem do służby nikt nie przyjmie. Cierpiałam, Boga się boiłam, piekła po śmierci. Teraz przywykłam do tego życia i nawet jest mi dobrze Nawiozą wszystkiego. Raz na rok można zgrzeszyć, nie? Potem się wyspowiadać i tak jakby tego nie było.



- Jest dziecko z każdego śpiewania, teraz piąte w drodze -  
powiedziała Małgorzata.

17  
Nie miała już Albina nic do powiedzenia, wszystko powiedziała  
o sobie, dobre i złe. - A jak tobie się żyje z Rochem, Małgosia?

- Też się tak przymuszam jak i ty - zwierzała się Małgorzata.  
Wdowiec, chorowity. Za niego muszę robić i noszę mu do łóżka  
mleko gorące na kaszel.

- A masz miód? Bo jakbyś nie miała, to ci dam. Przywieźli mi  
ze dworu cały dzban - szeptała Albina.

- Nie mam miodu, skąd mam mieć miód? Ach, żebym nie zapom-  
niała, Albinko. Jakby Pankracy zmarł, to zapłać dzwonnikowi  
podwójnie, żeby mu dzwonił na pogrzebie dłużej jak innym.

Śniło się Małgorzacie to dzwonienie, a jak coś się przyśni  
na nowym miejscu - spełnia się.

- - - - -